

Masochizmy

Liczba mnoga jest tu konieczna. Nie ma jednego masochizmu. Już nawet pobieżna lektura klasycznego dzieła Richarda von Krafft-Ebinga *Psychopathia Sexualis*, napisanego w ostatnich dekadach wieku XIX (i dopiero teraz po raz pierwszy w obszernych fragmentach publikowanego po polsku), uświadamia, że – gdy z jakichś powodów zapagniemy mówić o masochizmie „jako takim” – możemy jedynie przechodzić od jednego przypadku do drugiego i opisywać poszczególne „masochistyczne” biografie. Idiograficzne dzieje masochizmu nie rozpoczynają się jednak od casusu Leopolda von Sacher-Masocha, który – podobnie jak markiz de Sade w wypadku sadyzmu – dał nazwisko sygnujące ów osobliwy, od tego momentu nazywany masochistycznym sposób realizacji własnej seksualności. Brak oryginalności autora *Wenus w futrze* denuncjują choćby masochiści starożytni, których każdy znajdzie bez trudu.

Ta nieokreśloność masochizmu stała się wyzwaniem dla wielu psychiatrów i wielu filozofów. Freud, Reik, Lacan, Deleuze stworzyli – każdy po swojemu i na własną odpowiedzialność – odmienne teorie. Jeśli kto ciekaw, niech czyta – u nas sporą część książki Deleuze’a *Présentation de Sacher-Masoch*. Czy te teorie da się zastosować do przypadku Schulza? Bardzo w to wątpię i nie jestem w moim wątpieniu odosobniony (choć niektóre sposoby argumentowania wyjątkowości seksualnej Schulza budzą niemałe zdziwienie). Dla wielu schulzologów autor *Xiggi bałwochwalczej* to jednak „czysty masochista” *à la manière de* Freud, Lacan, Deleuze, Žižek, Agamben... Mamy takich także w siódmym zeszytcie „Schulz/Forum”. Ale bez nazwisk! Wszyscy oni jednym chórem krzyczą: „Schulz to masochista”, a przecież niezbyt dobrze wiadomo, kim t e n „masochista” jest.

Pomińmy głosy współczesnych Schulza. Po wojnie masochistyczną bibliografię pisarza i rysownika otwiera kapitan (i zarazem doktor psychiatrii) Henry J. Wegrocki artykułem w „Psychoanalytic Review”, zatytułowanym *Masochistic motives in the literary and graphic art of Bruno Schulz*. Ten psychoanalityk okazał się znajomym autora *Sklepów cynamonowych* i adresatem jego listu, którego schulzologodzy dotąd nie znali (fragment w kilku przekładach na stronie 205). W Polsce tradycję masochistycznej lektury rozwijał z upodobaniem Artur Sandauer. W licznych artykułach i szkicach głosił tezę, która najdobitniej tak się wykladała: „Ze zdrady swej czystości pierwiastek męski czerpie u niego [Schulza] występną rozkosz. Wskazówki idealistycznych wartości zaczynają tu drgać niepokojąco i zmierzać w odwrotnym niż zazwyczaj kie-

runku: zło nęci nie mimo – ale właśnie dlatego, że jest złem. Zjawisko to, które w średniowieczu nosiło nazwę satanizmu, figuruje dziś w podręcznikach seksuologii jako masochizm”. I tak dalej, i tak dalej. Sandauer z niejasnych powodów utożsamia satanizm (i fascynację złem) z masochizmem. Łatwiej byłoby może zrozumieć to utożsamienie, gdyby zamiast „masochizm” krytyk napisał „sadyzm”. W dalszych częściach jego fundamentalnego (co znaczy tu: na wiele lat betonującego lekturę prozy Schulza) eseju *Rzeczywistość zdegradowana* kwestia masochizmu powraca parokrotnie. Masochizm staje się dla Sandauera także później najważniejszym kluczem interpretacyjnym i główną kategorią krytycznoliteracką, która porządkuje i biografie, i dzieło Schulza. Aż do tezy o „masochistycznym” pragnieniu zagłady.

Rację ma Ficowski: „Takim kluczem nic się nie otwiera”. I rację ma Owczarski: „masochizm traktowany jest przez Sandauera jako wytrych do Schulzowskiej duszy”. To prawda. Ale równocześnie autor *Regionów wielkiej herezji*, książki ustanawiającej drugi biegun schulzologii – choć w interpretacji *Xięgi bałwochwalczej* napisał piękne zdanie o przekształcaniu libido (masochistycznego) w mit – widział w zachowaniach seksualnych Schulza coś wstydlivego, nie na miejscu, niestosownego, co należy zmarginalizować lub nawet przemilczeć. To zakłopotanie Ficowskiego na długie lata położyło się cieniem na schulzologii. Ostrożne stanowisko przedstawił jeszcze Jerzy Jarzębski w 1993 roku, gdy pisał w świetnym wstępie do Schulzowskiego tomu Biblioteki Narodowej: „W *Xiędze* Schulz ujawnił to, co było jego rzeczywistym problemem, jeśli bowiem uwierzyć relacjom przyjaciół, erotyzm jego istotnie odchyłał się od normy. Przypuszczać zresztą należy, że termin «masochizm» wszystkiego nie tłumaczy, a zawikłanie wewnętrzne artysty było i głębsze, i bardziej skomplikowane. W każdym razie tajemnic jego osobowości nie sposób wyjaśnić tylko przez skłonność do samoponiżenia”. Z tamtej tak już odległej epoki warto jeszcze przypomnieć próbę uwznioślenia masochizmu przez Władysława Panasę, który seksualne praktyki Schulza umieszcza „w kontekście religijnym: odkupienia grzechów i nadziei na zbawienie”.

Wygląda na to, że masochizm Schulza – dla jednych faktyczny, dla innych domniemany – nadal nie jest dostatecznie dobrze zdokumentowany, opisany, zinterpretowany. Dzisiaj nie ma zatem innej drogi. Trzeba zaczynać (prawie) od początku. To znaczy powrócić do źródeł i przeczytać raz jeszcze (lub po raz pierwszy) świadectwa pozostawione przez współczesnych. Trzeba uważnie wysłuchać, co Schulz mówił w wywiadzie *Nachtowi*, i co o Schulzu mówili (i pisali) Ficowskiemu „ukryci świadkowie” życia pisarza: Izydor Friedman i Irena Kejlinówna, co po latach różnym osobom opowiadała Alicja Dryszkiewicz. W schulzologii przesuwają się punkty ciężkości. Masochizm Schulza powinien zostać na nowo odkryty, odsłonięty.